

„Bić się czy nie bić?” Jubileusz Tomasza Łubieńskiego

Iwona Smolka: Witam państwa serdecznie w imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Domu Kultury Śródmieście na jubileuszu Tomasza Łubieńskiego. Tomasz Łubieński – eseista, powieściopisarz, dramaturg i poeta urodził się 10 IV 1938 roku w Warszawie. Ukończył filologię polską na UW, studiował na Wydziale Historii. Zadebiutował wierszem w roku 1955 na łamach tygodnika „Dziś i jutro”. W roku 1962 ukazał się zbiór opowiadań „Ćwiczenia”. Kiedy myślę o Twoich książkach, takich jak *Norwid wraca do Paryża* czy *M jak Mickiewicz*, a także o dramacie *Ostatni*, czy powieści *Wszystko w rodzinie*, nasuwa mi się refleksja, że czyta się je jak dobry kryminał. Tropisz w nich rzeczy niezwykłe, trudno uchwytnie. Zresztą jeden z Twoich tomów prozy również wskazuje na zainteresowanie tym, co nieoczywiste – nosi on charakterystyczny tytuł *Pod skórą*... Nie można też zapomnieć o najnowszej książce *Ani tryumf, ani zgon*, dotyczącej powstania warszawskiego. Ponieważ zaczynałeś swoją karierę literacką jako poeta, pozwól sobie na pytanie: czy się jest tym poetą już zawsze, czy tylko się nim bywa?

Tomasz Łubieński: W moim wypadku poetą się bywa. Wydaje mi się, że pisanie poezji to często typ twórczości chętnie uprawiany przez młodych autorów, a następnie przez nich porzucany. Ale po jakimś czasie niektórzy powracają do niego. Tak właśnie było w moim przypadku. Zacząłem od pisania wierszy, potem przestałem się tym zajmować, a od pewnego czasu znowu to robię – wprawdzie rzadko, ale sprawia mi to wielką przyjemność. Uważam poezję za koronę literatury, bo w krótkiej formie można tak wiele wyrazić... Jeżeli się pisze wiersze, nawet tak jak ja – w sposób niedzielnny – to uprawianie tej formy wpływa na wszystkie inne gatunki, w których wyraża się twórca. Odnośnie do moich doświadczeń z poezją warto wspomnieć, że tłumaczyłem między innymi Dantego. I cóż się okazało? Jeśli się najpierw pisze wiersze, a potem opowiadanie, powieść czy esej, to materia prozatorska stawia większy opór. Być może jednak jest to korzystne.

Iwona Smolka: W wierszu *Wizyta* pojawia się taki fragment: „Tu się urodził, umarł mój dziad karmazynowy”, a także scena, która przypomina pierwszą scenę Twojego dramatu *Ostatni* (powracają te same motywy i obrazy: podwieczorku, werandy, rajskiego wesela paniczów, letniego ganku, zapachu rodzinnej szkółki różanej, wreszcie fotografii). Co było pierwsze? Jaka jest geneza powstania dramatu *Ostatni*?

Tomasz Łubieński: Pierwszy powstał wiersz, ale ta problematyka była już obecna we mnie wcześniej. Wychowywałem się w takiej atmosferze i scenerii, ale z przekonania jestem demokratą. Spotkałem kiedyś wuja, który spędził wiele lat w południowej Afryce. Przywitał mnie takimi słowami: „Witam w tobie przedstawiciela naszej rodziny,

którego komunizm uchronił od degeneracji. Co ty byś zrobił bez tego? Byłbyś paniczem, ewentualnie łowcą posagów, polowałbyś... A tak skończyłeś studia, pracujesz". Bardzo mi gratulował i tego się w życiu trzymam.

Iwona Smolka: W całej Twojej twórczości obecne jest zainteresowanie emigracją, zwłaszcza paryską, zajmowałeś się również Norwidem, który do Paryża wrócił ze Stanów Zjednoczonych. Emigracje bywają różne, w Twoich wierszach są one również przedstawiane jako ucieczki. Dlaczego nie tylko Wielka Emigracja, ale i te pozostałe tak Cię zajmują?

Tomasz Łubieński: Może to mój niespełniony los? Problem emigracji zawsze mnie interesował, ale nigdy tak naprawdę nie chciałem być emigrantem. Gdy po 1981 roku wielu moich przyjaciół wyjechało, miałem do nich pretensję. Trochę im zazdrościłem, lecz przede wszystkim miałem za złe to, że znikli z mojego życia, ich nieobecność okazała się dotkliwa. Gdy powrócili, bardzo się cieszyłem. Emigracja stanowi dla mnie problem o wymiarze egzystencjalnym, eschatologicznym, rodzi też pytanie o to, czy los konkretnego człowieka mógłby być inny. Sam również się nad tym zastanawiałem – zwłaszcza w Ameryce czasami rozważałem dość teoretycznie, czy aby nie chciałbym tam nie zostać, stać się kimś innym, choćby sprzedawcą orzeszków albo – chętniej – strażnikiem w moim ulubionym Parku Narodowym Yosemite.

Iwona Smolka: Który to był rok?

Tomasz Łubieński: 1984 lub 1985. A potem zdałem sobie sprawę, że nie mogę być kimś innym. Jednakże ta kwestia zawsze mnie dręczyła i niepokoi nadal, choć mój los jest już określony.

Iwona Smolka: Ale Twoi bohaterowie szukają swego losu...

Tomasz Łubieński: To kwestia do rozważenia, czy większym heroizmem jest znosić swój los czy też próbować go zmieniać.

Iwona Smolka: A teraz poproszę Marka Zagańczyka o wygłoszenie laudacji.

Marek Zagańczyk: Szanowni Państwo, Drogi Panie Tomasz! W rozmowie, którą przeprowadziła z Panem Barbara Łopieńska mówi Pan: „Naprawdę nie chce mi się czytać o tym, czy jestem inteligentny, zdolny czy kontrowersyjny. Teraz załóżmy, że ktoś mnie komplementuje. Komplement nigdy nie jest dobrze trafiony zwykle komplementuje cię ten, na kim Ci nie zależy, a ten, z którego zdaniem się liczysz, nic o tobie nie napisze”. Mam świadomość, że znajduję się w związku z tym w trudnej sytuacji. Moje wystąpienie nie będzie miało charakteru uczzonej laudacji, w której chwali się jubilatą wskazując jego niekwestionowane zasługi. Do tego trzeba być profesorem albo przynajmniej posiadać podobny poziom wiedzy, wyczucia i doświadczenia jak osoba, o której przyszło nam mówić. Nie jest to mój przypadek, dlatego wolę mówić o nauce, jaka płynie z Pańskiego pisarstwa, i o wskazówkach, jakie zechciał Pan udzielić swoim czytelnikom. Chciałbym więc, abyśmy wspólnie przypomnieli sobie Pańskie książki i niektóre ich wątki. Zależy mi również na tym, żeby powiedzieć, dlaczego były i są dla mnie ważne, niezależnie od okoliczności.

Często mówi Pan o swoich książkach, że są to „dzieła obrotowe”. Podoba mi się to sformułowanie, choć sądzę, że niekoniecznie musi Pan mieć rację, gdy twierdzi Pan, że rozumienie Pańskich księzek zależy od okoliczności, że poszczególne utwory zyskują lub zmieniają swoje znaczenie w zależności od tego, kiedy i przez kogo są czytane. W Pańskiej twórczości wiele jest utworów, które nigdy nie tracą siły oddziaływania: mądrych, wspaniałych, pisanych pod prąd, z intelektualną swobodą, a czasami również dlatego, aby – jak mawiał Gombrowicz – „zupa była smaczniejsza”.

A może ta „obrotowość” jest oczywistym walorem Pańskich prac? Może lepiej tworzyć utwory przystające do każdych warunków, zmienne jak czasy, w których żyjemy? Używając ciężkiego, bo militarnego porównania, można powiedzieć, że czołg o obrotowej wieży częściej trafia do celu niż powolne działo samobieżne. A cel jest zawsze ten sam: zrozumieć przelomowe momenty w polskich dziejach, przedstawić ich bohaterów, przeniknąć ich intencje, ożywić, potraktować jak ludzi, a nie jak figury szachowe. Do tego, poza wiedzą historyczną i lekturą dokumentów źródłowych, potrzebne są również talent pisarski i cenna umiejętność wnikania w umysły tych, którzy żyli przed nami. Wybierał Pan zawsze bohaterów najwyższej próby, najistotniejszych, stanowiących przedmiot opisu wielu generacji badaczy. Najważniejszy jest wśród nich Adam Mickiewicz. Poświęcił mu Pan sztukę i biografię – jedną z najciekawszych, jakie napisano. Wcześniej pisał Pan również o Norwidzie. Mierzenie się z najważniejszymi postaciami w literaturze polskiej wymaga odwagi. Jak w tym wszystkim znaleźć swój głos, skorzystać z prac innych, a jednocześnie dodać coś od siebie? Myślę, że to jeden z najprzyjemniejszych obowiązków, jaki spoczywa na barkach każdego, kto poważnie myśli o literaturze polskiej. Kultura polega bowiem na nieustannym powrocie do przeszłości i ożywianiu tematów towarzyszących nam od pokoleń. Nikt nas z tego obowiązku nie zwalnia. I dlatego tak ważne jest, że istnieją pisarze tacy jak Pan, gotowi opowiedzieć swoją wersję Mickiewiczowskiej biografii, po swojemu rozłożyć w niej akcenty, przedstawić Mickiewicza współczesnego, lecz w odmienny sposób niż ma to miejsce w *Szkicach o Szekspirze* Kota. U Pana najważniejszą kwestię stanowi relacja między dziełem, talentem poetyckim a obecnością w historii. Stara się Pan dać odpowiedź na pytanie: jak pogodzić rolę bohatera, przywódcy, sumienia narodu i artysty z rolą poety w świecie rozpiętym między samotnością i solidarnością? Dlatego Pański Mickiewicz stąpa twardo po ziemi, żyje w świecie wyraźnie nakreślonym, w którym liczy się każdy szczegół, ale ciągle, co warto podkreślić, mając w pamięci inne prace o Mickiewiczu, jest wielkim poetą, artystą obdarzonym niewiarygodnym talentem, autorem wierszy, które stale zapierają nam dech w piersiach. Historia życia codziennego nie zastępuje Historii pisanej wielką literą, tak jak literatura obyczajowa nie może zastąpić poezji znajdującej się w rejonach wysokiego stylu i wzniosłej myśli. Krótko mówiąc, w Pańskim piśmarstwie, mimo wielu barw i nastrojów, dominują poważny ton i poczucie hierarchii. Mimo poufaleści, z jaką pisze Pan o swoich bohaterach, pisarzach, królach i generałach, mimo wchodzenia w dyskusję z ich poglądami, mimo zastrzeżeń do ich poczynań, nie tracą oni nic ze swojej wielkości. Dotyczy to postaci współczesnych i historycznych z tej nieco dalszej, bo XIX-wiecznej historii, jak choćby Ludwika

Mierostawskiego, któremu poświęcił Pan swój esej *Czerwono-biały*. W moim odczuciu to jeden z najpiękniejszych portretów, jakie kiedykolwiek naszkicowano. Zaczyna się on i kończy na Sycylii, z dala od polskich krajobrazów. Gdybym miał go z czymś porównać to tylko z *Portretem Słowackiego*, książką Pawła Hertza, o podobnej sile wizji i obrazach, które na długo pozostają w naszej wyobraźni. W zakończeniu tego szkicu pisze Pan:

„30 lat wcześniej na Sycylii wszystko zdawało mu się jeszcze możliwe, egzotyczne niepowodzenie wyglądało na jakiś epizod, zaostrzało tylko pragnienie zwycięstwa. Postrzałowa rana szybko goiła się w słońcu. Ale już wtedy, podobnie jak człowiek, w którym wcześniej pojawiają się znaki przyszłej śmierci, młody i piękny, nosił w sobie zapowiedź czekających go błędów i klęsk. I nie miał ani czasu, ani ochoty, jak uczy Dante, w połowie, w środku życia zastanawiać się nad sobą. Wątpliwe zresztą, czy potrafiłby, a może nawet czy chciałby naprawdę zmienić swoją patetyczną rolę, potrzebną przecież, jednego z tych, którym historia pozwala jaskrawo błyszczeć, ale potem, jeszcze za życia, każe zdawać rachunki”.

Potrafi Pan także spojrzeć na opisywaną postać z własnej perspektywy. Na przykład wówczas, gdy pisze Pan o Maryli Puttkamerowej i jej tajemnicy odkrywanej w Bieniakoniach między Wilnem a Nowogródkiem.

„Z okien zastawionych doniczkowymi kwiatami śledzili nas staruszkowie i dzieci. Samochód był aż z Wilna. W kościele znajdował się skład węgla zamykany na skobel. Naprzeciwko chata z napisem po białorusku, że tu mieści się szkoła muzyczna. Obok kościoła, w krzakach, jakby porzucona, ciężka kamienna płyta grobowa Maryli Puttkamerowej. Myślałem wówczas, w Bieniakoniach, o barbarzyństwie, o pogardzie historii, która zrównuje wszystkich w przemijaniu. Teraz podobno jest tam bardziej elegancko, ale nie zmienia to faktu, że takiego kurhanka doczekała się Maryla. Profesor Kleiner zarzuca Mickiewiczowi nietakt. Jak można było w *Kurhanku Maryli* właśnie, pogrzebać ukochaną za życia? Ale jeśli pomyśleć o tej miłości, tak inaczej niespełnionej, czego najpewniejszym skutkiem i dowodem IV część *Dziadów*, wydaje się ów pomysł zupełnie zrozumiały. Śmierć jako jedyne satysfakcjonujące wyjście dla zakochanych bez szans, albo, którym brak sił na szansę, którzy nie mierzą sił na zamiary, lekarstwo na zazdrość bardziej radykalne niż czas, ale żeby tak myśleć i czuć trzeba już podejść do bardzo niebezpiecznej granicy, przed którą zatrzymali się nasi kochankowie”.

Przy tej okazji warto wspomnieć, że obok historii, także miłość staje się ważnym tematem Pańskich rozważań. Czasami są to książki w bardzo szczególnie sposób spisane czy opowiedziane, czasami też, jak w książce *Pod skórą*, trudno za nimi nadążyć. Zawsze jednak można wynieść z nich coś dla siebie, choćby pojedyncze zdanie, jakiś obraz. Pisał Pan również o bohaterach naszych czasów: o Marianie Brandysie, Jerzym Andrzejewskim, Tadeuszu Konwickim, Tadeuszu Borowskim czy Czesławie Miłoszu. Ale z całą pewnością w umysłach wielu czytelników pozostaje Pan autorem wyraziście sformułowanego, skierowanego w stronę polskiej historii, pytania: „bić się czy nie bić”? Wielokrotnie wznawiany i uzupełniany tom szkiców pod takim tytułem pozostaje

lekturą obowiązkową polskiego inteligenta i nie przypadkiem jego kolejne wydanie uka-
zało się obok innych najgłośniejszych książek dotyczących polskich sporów – *Zniewo-
lonego umysłu* Czesława Miłosza czy *Sylwetek politycznych XIX wieku* Marcina Króla
i Wojciecha Karpińskiego. Nie tak dawno, przy okazji rocznicy powstania warszawskie-
go, wrócił Pan do tematu polskich zrywów niepodległościowych i z właściwym sobie
wycuciem, wiedzą i niechęcią do uogólnień sformułował Pan własną ocenę wydarzeń
sierpnia 1944 roku. Już tytuł mówi wiele – *Ani tryumf, ani zgon*. Pańskie rozmyślenia
o naturze polskich insurekcji służą zrozumieniu historii, są jej prywatną, często bole-
sną oceną, ale zawsze dokonywaną z punktu widzenia kogoś, kogo te sprawy dotyczą
w sposób niebywale bezpośredni, niesłuchanie bolesny. Nie jest to gra wyobraźni,
ale chęć uświadomienia sobie i innym przyczyn, okoliczności i skutków powstań, wi-
dzianych z perspektywy całego narodu oraz jego pojedynczych przedstawicieli.
Nie jest to zwyczajowy rachunek zysków i strat, w którym liczy się jedynie bilans.
W Pańskich książkach ważne są też emocje, charaktery, małe i wielkie zbiegi okolicz-
ności. I mam pewność, że Pańskie pytanie, „bić się czy nie bić”, pozostaje aktualne,
jest rodzajem intelektualnej lekcji, którą każdy po swojemu powinien odrobić.

Jednakże Pańskie pisarstwo wykracza również poza wymiar historyczny, co znajduje
swoją wyraz w wierszach i tłumaczeniach. Za przekład Dantego, za tę próbę dotarcia
do istoty tego niezwykłego dzieła, jestem Panu szczególnie wdzięczny. Pamiętam dysku-
sję, jaką wywołał ten przekład. Wystarczy wspomnieć, nie wnikając już w szczegóły tamtej
historii, że to rzadka w polskim życiu intelektualnym sytuacja, gdy co najmniej dwóch
wybitnych pisarzy spiera się o interpretację dzieła Dantego. Życzyłbym sobie więcej takich
debat.

I jeszcze jedno oblicze Pańskiej działalności. Jest Pan redaktorem ważnego pisma
o książkach, które już z założenia trudno jest redagować. „Nowe Książki” mają być
i są wiernym odbiciem polskiego ruchu wydawniczego. Ale dobór autorów, wybór tek-
stów głównych, rozmowy, jakie im najczęściej towarzyszą, czynią to pismo wyrazistym
i interesującym. Każdy, kto zajmuje się książkami lub chce znaleźć coś dla siebie
wśród wielkiej biblioteki tekstów, powinien do niego zajrzeć.

W rozmowie z Barbarą Łopieńską wspominał Pan także radę, jakiej udzielił Panu
przyjaciel, fotograf Marek Holtzman. Gdy narzekał Pan, że nie wszyscy należą do cenią
Pańskie sukcesy, Holtzman odparł: „Panie Tomasz, niech się Pan cieszy, bo Pan Bóg bar-
dzo rzadko się uśmiecha”. A ja życzę Panu, aby często słyszał Pan ten przyjazny śmiech,
a nam, czytelnikom, pozwolił w tej radości również uczestniczyć.

Iwona Smolka: Trudno będzie coś dodać do tej wspaniałej laudacji, ale spró-
buję. Tomasz Łubieński był współzałożycielem powstałego w 1978 roku nielegalnego
czasopisma „Res Publica”, znalazł się również w składzie redakcji późniejszej, legalnej
już „Res Publici Nowej”. W latach osiemdziesiątych współpracował z londyńskim „Aneksem”
i z paryskimi „Zeszytami Literackimi”.

Moim zdaniem, cała twórczość Tomasza Łubieńskiego ma charakter dramatur-
giczny, to znaczy u podstaw dzieła leży konflikt, zderzenie się ze sobą różnych postaw

i poglądów. Może dlatego wszystkie jego książki, włącznie z *M jak Mickiewicz*, czyta się niczym dobre kryminały. Równocześnie jednak są to utwory erudycyjne, pomimo że nie ma w nich przypisów. Wszystkie te cechy sprawiają, że nie można określić twórczości Łubieńskiego innym mianem niż dobra literatura.

W jaki sposób sytuacja, nie historyczna, lecz aktualna wpływała na wybór tematów i Twoje poglądy, a także na sposób interpretacji czyjegoś życia? Kiedy się czyta tekst *Norwid wraca do Paryża* i natrafia tam na passus o przybyciu do stolicy Francji młodej emigracji po 1948 roku, można poczuć dyskomfort i niepokój. Stara emigracja jawi się tam jako grupa doskonale urządzona i owiana chwalebny legendą, natomiast napływająca młoda fala emigrantów nie może się zadomowić, określić, nie towarzyszy jej też pozytywna mitologia. Pisałeś tę książkę w późnych latach siedemdziesiątych. Czy te refleksje miały związek z tym, co się działo w owym czasie w kraju?

Tomasz Łubieński: W pewnym sensie tak, przez analogię – w Polsce można było wówczas obserwować równocześnie solidarność i konflikt. Nie mógłbym oczywiście umiejscowić siebie wtedy po żadnej ze stron, gdyż nie byłem ani starym, ani nowym emigrantem, lecz często jeździłem do Paryża i rzeczywiście odczuwało się tam podział na nową emigrację i częściowo rozproszoną, lecz nadal działającą emigrację wojenną. Paryż dla Polski stanowił centrum kultury, szczególnie w czasach stalinowskich, gdy w każdym numerze paryskiej „Kultury” pojawiali się Herling-Grudziński, Miłosz, Gombrowicz, Jeleński – to była niesamowita potęga. Inaczej sprawa się przedstawiała z emigracją roku 1968 oraz emigracją solidarnościową. Im większa była, tym bardziej różnorodna, mniej arystokratyczna w sensie duchowym, mniej z wyboru, a bardziej z przypadku. Wielorakość sprzyjała temu, że każdy pragnął postawić na swoim i każdy miał swoją rację – zarówno ten, kto chciał, aby jego zasługi były docenione, jak i ten, kto wyjechał z Polski przedwojennej i to ją nosił w sercu, nie rozumiejąc nowej emigracji, która była inaczej wychowana i przygotowana do życia, bardziej drapieżnie dążyła do zaznaczenia swojej siły. Z tych właśnie powodów dochodziło do konfliktów. Nieporozumienia występowały również między emigracją a krajem. Ich przyczyną była odmienność życia i standardów, istniejąca pomimo pomocy, którą emigranci starali się nieść ludziom z kraju. W moim odczuciu miało to jednak pozytywny wpływ na twórczość literacką. Zawsze zaprzeczałem, gdy mówiono, że jest tylko jedna literatura polska. W rzeczywistości literatura krajowa i emigracyjna były odmienne i rywalizowały ze sobą.

Iwona Smolka: Czy historię w jakikolwiek sposób da się uporządkować? Ostatnio jawi się ona jako tumult, chaotyczny bieg przez scenę, poszczególne zdarzenia nie mogą połączyć się w jej obrębie.

Tomasz Łubieński: To pytanie o historię czy o politykę? Bo historia to wyższe piętro, coś szlachetniejszego. Polityka mnie interesuje, ale jest ona zgiełkiem, natomiast z historii płynie głęboki sens. Wierzę również w rozsądek. Jestem pozytywistą.

Iwona Smolka: Owszem, historia ma sens, ale ja pytam o to, czy daje się ona uporządkować pisarzowi, czy zawsze pozostanie tylko pytaniem o to, czy „bić się czy nie bić”, i zaowocuje konstatacją: ani tryumf, ani zgon?

Tomasz Łubieński: Chyba jednak pozostanie pytaniem, bo tylko tak podana jest ciekawa. Nie lubię wyśmiewania się z historii. Cenię ironię czy stawianie pytań, lecz kpiny już nie. Najciekawsza dla mnie jest historia widziana przez pryzmat ludzkich losów i wydaje mi się, że to łączy mnie z historykami pasjonującymi się historią w skali pojedynczego człowieka, a nie tylko historią tych, którzy zawodowo zajmują się jej tworzeniem. Przekonują mnie takie ujęcia, w których historia puka do czyichś drzwi; nie do zawodowca, generała czy polityka, tylko na przykład do krawca, szewca lub rolnika.

Iwona Smolka: Ależ Tomaszu, w Twoich sztukach nie ma ani jednego szewca, ani jednego krawca.

Tomasz Łubieński: Szewcy już byli – u Witkacego, Krawcy też – u Mrożka.

Iwona Smolka: Motywem przewodnim Twojej książki *Norwid wraca do Paryża* jest zdanie „chciał pozostać sobą”. Wydaje się, że trud pozostawania sobą, kiedy się już określi, kim się jest, pojawia się w wielu Twoich utworach. Mam rację?

Tomasz Łubieński: Tak. Dotyczy to nie tylko moich bohaterów, lecz także mnie samego.

Iwona Smolka: Czy ma to związek z próbą męskości, sprawdzaniem wytrzymałości, poszukiwaniem przygód, które dostarczą adrenaliny – to motywy ważne szczególnie w Twoich wcześniejszych opowiadaniach?

Tomasz Łubieński: Tak. Mają one także związek z górami, po których przez krótki czas chodziłem sportowo. Teraz już tak nie chodzę, ale jeżeli coś wiem o życiu, ryzyku, odwadze czy śmierci, to właśnie dzięki wyprawom w góry. To był rodzaj lekcji, którą zapamiętałem i do której wracałem podczas pisania o powstaniach, ponieważ dała mi ona ogromne bogactwo przeżyć. Później mogłem w każdej chwili do niego sięgnąć. Wojna mi takiej lekcji nie dała, byłem zbyt mały i nic złego mi się wtedy nie stało. A to właśnie doświadczenie strachu pozwala na wyzwolenie w człowieku odwagi, bo człowiek, kiedy się boi, próbuje temu uczuciu zaradzić i podejmuje walkę. Jak zacząłem od poezji i wróciłem do niej po latach, tak wróciłem do gór, które są dla mnie coraz wyższe, coraz bardziej strome i stają się coraz większym wyzwaniem.

Iwona Smolka: Jak oceniasz swój pięćdziesięcioletni dorobek?

Tomasz Łubieński: Różnie. Jak ja to mówię: ze zmiennym szczęściem. Kocham teatr, ale to nie w tej dziedzinie odniosłem największe sukcesy. Większość moich sztuk była realizowana. Znalazłem wspaniałych reżyserów zainteresowanych moją twórczością, takich jak reżyser i filozof Jerzy Kreczmar oraz Tadeusz Minc, bardzo mądry reżyser, pozostający jednak zawsze w czyimś cieniu, choć wcale nie gorszy od innych. A także Eugeniusz Korin, Zdzisław Wardejn i Tadeusz Bradecki. Bradecki wystawił mi *Ostatniego* w Teatrze Narodowym z świetną kreacją Ignacego Gogolewskiego. Za tę przychylność dla mojej twórczości jestem im bardzo wdzięczny. Wspomnę także bardzo utalentowanego Włodzimierza Hermana, reżysera (chwalonych przez Konstantego Puzynę) Szewców, który wystawił moje debiutanckie *Zegary* w Studenckim Teatrze Kalambur we Wrocławiu, ale wyjechał niestety.

Iwona Smolka: A jaki jest Twój stosunek do formy słuchowiska?

Tomasz Łubieński: Forma słuchowiska jest mi szczególnie bliska. Pisałem swoje sztuki „na słuch” i nazywałem je mianem słuchowisk teatralnych, mając nadzieję, że teatr się tym zainteresuje. Czasem się to udawało. Ale płaciłem za to pewną cenę – lubiłem swoje sztuki „wystawiać w słowie”, w wyobraźni, a teatr niestety często tego nie podchwytował. Jedną z tych sztuk, *Zegary*, była ostatnio po wielu, wielu latach czytana w teatrze Tadeusza Słobodzianka. Ten, kto się bawi słowem w dramacie, musi jednak liczyć się z tym, że język skażony awangardą pozostawia mniej miejsca dla interpretacji aktora. Ale sądzę, że ten język stanowi wartość samą w sobie. Natomiast tam, gdzie mamy do czynienia z językiem przezroczystym, rysunek postaci wydaje się wyraźniejszy, bo zostaje wzbogacony o dodatkową wartość, jaką tworzy aktor w trakcie gry.

Dorota Ćiriłć: Jestem redaktorką „Dialogu” i miałam szczęście redagować publikowane na łamach pisma dramaty Tomasza Łubieńskiego (z wyjątkiem pierwszych pięciu). Warto przypomnieć, że Tomasz Łubieński jest autorem takich sztuk jak: *Gra* (1959), *Stare byki* (1964), *Zegary* (1968), *Koczowisko* (1974), *Ćwiczenia z aniołem* (1976), *Przez śnieg* (1981), *Śmierć Komandora* (1983), *Sławek i Sławka* (1988), *Historia z psem* (1989), *Trzeci oddech* (1991), *Strefa nadgraniczna* (1992), *Śniadanie do łóżka* (1993), *Wzgórze* (1996), *Italiam! Italiam* (1998), *Domy, drzewa, chińska róża* (2000), *Ostatni* (2002), *Przez las* (2007). W 1985 roku napisał także słuchowisko *Skarbuś*. Dramaty Tomka Łubieńskiego mają podobne cechy, jak jego proza czy eseistyka, jednakże dodatkowo dochodzi w nich do głosu pewien szczególny ton ironii. Te same, co w prozie lub podobne tematy, dzięki formie dialogowej i dystansowi, który daje teatr i forma dramatu, zyskują nowy, wręcz gombrowiczowski wymiar. Dochodzi tu do konfrontacji wzniosłego z niskim, trywialności z historią lub literaturą, przeszłości z teraźniejszością. To wszystko znajduje swoje odzwierciedlenie również w języku. Naśladując, jakby mimochodem, mowę potoczną, Tomasz Łubieński bawi się językiem, zarówno dawnym, jak i współczesnym. Najważniejsze motywy są wspólne dla wszystkich rodzajów literackich podejmowanych przez tego autora, a mianowicie: mitologia szlachecko-ziemiańska z obrazem dworku, góry z dziesiątkami przedziwnych nazw okazów przyrody, a także nieustające perturbacje męsko-damskie. Wszystko to zostaje w dramatach wprowadzone w nieustającą grę z rozmaitymi schematami, którymi operujemy na co dzień, kiedy myślimy o przeszłości, polityce czy sprawach powszednich.

Gdyby mnie ktoś zapytał, trawestując wypowiedź samego autora, czy grać Tomasa Łubieńskiego, czy nie grać, to odpowiedziałabym, że grać i to grać dużo więcej niż jest grane. Niestety, trzeba ze smutkiem stwierdzić, że intelektualnie teatr polski nie dorósł do twórczości Tomasza Łubieńskiego, gdyż każdy tekst tego autora wymaga dużego wysiłku od reżysera, intensywnego myślenia i teatralnej wyobraźni.

Iwona Smolka: Serdecznie Państwu dziękuję.

Jubileusz Tomasza Łubieńskiego odbył się 17.03.2008 w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie